

TRZEJ STUDENCI

ARTHUR CONAN DOYLE

W 1895 roku pewien zbieg okoliczności, którym teraz wolę się nie zajmować, spowodował, że Sherlock Holmes i ja spędziliśmy parę tygodni w jednym z naszych wielkich miast uniwersyteckich. Wtedy przeżyliśmy niewielką, lecz pouczającą przygodę. Zanim przystąpię do jej opisanie, muszę zaznaczyć, że ujawnienie jakichkolwiek szczegółów mogących ułatwić czytelnikowi zidentyfikowanie przestępcy lub koledżu, w którym się to działo, uważam za niewłaściwe, a nawet nieprzyzwoite, ponieważ lepiej będzie, jeśli tego przykrego skandalu nie będzie się odgrzebywać. Jednak, przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji, można to wydarzenie opisać choćby po to, aby pokazać niezwykle zdolności mojego przyjaciela. W trakcie opowiadania będę się więc starał unikać określeń lub wzmianek, na podstawie których można by odkryć więcej niż wypadałoby.

Mieszkaliśmy w owym czasie w wynajętym umeblowanym mieszkaniu położonym niedaleko biblioteki. Tam właśnie Holmes cały swój czas poświęcał badaniom dokumentów dotyczących wczesnych angielskich przywilejów i nadań. Jestem zdania, że mój przyjaciel osiągnął w tej dziedzinie tak nadzwyczajne rezultaty, że zamierzam jego rozważaniom poświęcić któreś z moich następnych opowiadań.

Pewnego wieczoru złożył nam wizytę jeden z naszych znajomych, wykładowca w Kolegium św. Łukasza, pan Hilton Soames, wysoki, chudy mężczyzna, o nerwowych ruchach i gwałtownym temperamencie.

Znany mi był jego nieopanowany sposób bycia, ale t razem był tak podniecony, że wiedzieliśmy, iż stało coś niezwykłego.

— Mam nadzieję — zwrócił się do Holmesa — że chce mi pan łaskawie poświęcić parę chwil swojej cennego czasu. U św. Łukasza zdarzył się bardzo przykry wypadek i gdyby nie szczęśliwy traf, któremu zawdzięczamy pańską obecność w naszym mieście, wiedziałbym co począć.

— Jestem obecnie bardzo zajęty — odpowiedział mój przyjaciel — i nie chciałbym się odrywać od mojej pracy. Zdecydowanie wolałbym, aby zechciał się pan zwrócić o pomoc do policji.

— Nie, drogi panie, taki tryb postępowania jest wykluczony. Gdy wkroczy prawo, sprawa musi być doprowadzona do końca. W tej zaś specyficznej, sytuacji, ze względu na dobre imię naszego wydziału, zależy nam w najwyższym stopniu na uniknięciu rozgłosu i skandalu. Pańska dyskrecja jest równie dobrze znana jak pańskie wspaniałe umiejętności. Jest pan jedynym człowiekiem na świecie, który może mi pomóc. Toteż jak najusilniej pana o to proszę.

Charakter mojego przyjaciela nie zlągodniał szczególnie, odkąd opuścił na jakiś czas Baker Street — miejsce tak właściwe dla jego osoby. Nie mając swojego archiwum, laboratorium chemicznego i swoistego bałaganu, który panował w jego mieszkaniu, Holmes czuł się wyobcowany.

Wzruszył więc ramionami niezbyt chętnie wyrażając zgodę, a pan Soames w pospiesznie wyrzucanych słowach, którym towarzyszyła gwałtowna i chyba zbyt gęsta gestykulacja, opowiedział nam, co się wydarzyło.

— Proszę pana, jutro jest pierwszy dzień egzaminów dla kandydatów ubiegających się o stypendium fundowane przez pana Fortescue. Jestem jednym z egzaminatorów. Wykładam grekę i pierwszy z egzaminów pisemnych polega na przetłumaczeniu nieznanego kandydatom długiego tekstu greckiego. Tekst ten jest wydrukowany na specjalnym urzędowym papierze i

zapoznanie się z jego treścią przed egzaminem w bardzo poważnej mierze ułatwiłoby studentowi zadanie, dlatego jest to pilnie strzeżona tajemnica.

Dzisiaj około trzeciej po południu otrzymałem próbne odbitki z drukarni — pół rozdziału Tocydydesa. Musiałem je przeczytać bardzo uważnie, tekst bowiem musi być absolutnie bezbłędny. Do wpół do piątej jeszcze się z tym nie uporałem. Na godzinę piątą byłem zaproszony do jednego z moich przyjaciół, wyszedłem więc, zostawiwszy odbitki na biurku. Nie było mnie ponad godzinę. Pamięta pan zapewne, że wszystkie drzwi w naszym gmachu są podwójne — wewnętrzne obite zieloną tkaniną, zewnętrzne zaś z solidnego dębu. Wracając, zauważyłem ze zdumieniem, że w zamku zewnętrznych drzwi tkwi klucz. Przez chwilę myślałem, że w drzwiach zostawiłem własny, ale natychmiast się przekonałem, że mam go w kieszeni. Jedyny, jak mi wiadomo, klucz poza moim był w posiadaniu mojego służącego Bannistera, który od dziesięciu lat u mnie sprząta. Jego uczciwość jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Klucz istotnie należał do niego. Okazało się, że Bannister wszedł do mojego pokoju jakieś kilkanaście minut po moim odejściu, aby zapytać, czy nie życzę sobie herbaty. Wychodząc, w rozrządzeniu zostawił klucz w drzwiach. Gdyby się to wydarzyło kiedy indziej, nie przejąłbym się z tego powodu, ale tego właśnie dnia jego nieuwaga pociągnęła za sobą fatalne następstwa. Spojrzawszy na biurko, zorientowałem się natychmiast, że ktoś grzebał w moich papierach. Odbitki na trzech długich szpaltach pozostawiłem spięte razem, a teraz jedna leżała na podłodze, druga na stoliku pod oknem, trzecia zaś była w miejscu, w którym ją zostawiłem.

Holmes po raz pierwszy okazał zainteresowanie i powtórzył:

— Pierwsza szpalta na podłodze, druga przy oknie i trzecia w miejscu, w którym je pan pozostawił.

— Tak. To doprawdy zdumiewające. Skąd pan to wie?

— Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawa historia.

— Przez chwilę sądziłem, że Bannister ośmielił się przeglądać moje papiery. Ten jednak stanowczo temu zaprzeczył. Jestem przekonany, że mówił prawdę. Doszedłem więc do wniosku, że ktoś, przechodząc koło moich drzwi, zauważył klucz tkwiący w zamku i wiedząc, że mnie nie ma, wszedł aby rzucić okiem na moje papiery. To stypendium należy do najbardziej pożądanym. W grę wchodzi znaczna suma pieniędzy, więc nieuczciwy student gotów byłby niejedno zaryzykować, aby uzyskać przewagę nad konkurentami.

Bannister bardzo się tym wypadkiem przejął, prawie zemdlął, gdy się przekonał, że ktoś zaglądał do tych papierów. Dałem mu łyk brandy i posadziłem kompletnie załamanego na krzesło, sam zaś przystąpiłem do szczegółowych oględzin pokoju. Poza rozrzuconymi papierami znalazłem wkrótce inne ślady czyjejś bytności. Na stoliku pod oknem odkryłem złamany grafit i skrawki po temperowanym w tym miejscu ołówku. Niewątpliwie ten łobuz, pospiesznie przepisując tekst, złamał ołówek i musiał go zaostrzyć.

— Doskonale — rzekł Holmes, odzyskując dobry humor, w miarę jak rosło jego zainteresowanie — szczęście panu sprzyja.

— To nie wszystko. Błat mojego nowego biurka pokryty jest czerwoną skórą. Mogę przysiąc, i Bannister gotów jest uczynić to samo, że powierzchnia tego blatu była gładka, nieuszkodzona i bez jakiegokolwiek plamy. Otóż na tej skórze znalazłem rozcięcie długości około trzech cali; nie rysę, ale wyraźne rozcięcie. Ponadto na biurku znalazłem małą grudkę jakby gliny czy czegoś podobnego do czarnego ciasta, zawierającą coś, co wyglądało na trociny. Jestem przekonany, że te ślady pozostawił człowiek, który dobrał się do moich papierów. Nie odkryłem natomiast żadnych śladów stóp lub innych szczegółów mogących doprowadzić do wykrycia jego tożsamości. Nie wiedziałem zupełnie co począć, ale na szczęście przypomniałem sobie o pańskiej obecności w naszym mieście i od razu przyszedłem tutaj, aby zasięgnąć pańskiej rady.

Proszę mi pomóc! Zdaje pan sobie sprawę z wagi problemu — albo muszę odnaleźć winowajcę albo odłożyć egzamin do chwili, gdy nowy tekst zostanie wydrukowany. Musiałbym wtedy wyjaśnić powody tej zwłoki, wszystko wyjaśnić, a to doprowadziłoby do wybuchu okropnego skandalu, który może skompromitować nie tylko nasz wydział, ale i całą uczelnię. Zależy mi przede wszystkim na zachowaniu jak najdalej idącej dyskrecji w tej sprawie.

— Chętnie się tym zajmę i zrobię, co będę mógł — odpowiedział Holmes wstając i sięgając po płaszcz. — Problem nie jest pozbawiony ciekawych aspektów. Czy ktokolwiek odwiedzał pana w pokoju, gdy miał pan te papiery u siebie?

— Owszem. Młody Hindus, Daulat Ras, student mieszkający na tej samej klatce schodowej. Przyszedł do mnie, aby zapytać o pewne szczegóły związane z egzaminem.

— Czy ma brać w nim udział?

— Tak.

— A papiery leżały wówczas na biurku?

— O ile pamiętam, były zwinięte w rulon.

— Czy można się było domyślić, że są to odbitki z drukarni?

— Przypuszczam, że tak.

— Nikogo więcej nie przyjmował pan w tym czasie w swoim gabinecie?

— Nikogo.

— Czy ktokolwiek wiedział, że te odbitki będą u pana?

— Nikt poza drukarzem.

— Pański służący nie wiedział o tym?

— Nie, nikt nie wiedział.

— Co się teraz z nim dzieje?

— Jest załamany. Zostawiłem go u siebie, siedząc, go na krześle. Zależało mi, aby jak najszybciej zobaczyć się z panem.

— Zostawił pan drzwi otwarte?

— Ale papiery zamknąłem na klucz...

— Z tego wynika, panie Soames, że gdyby nawet Hindus nie domyślał się, iż zwinięte na biurku papiery zawierają odbitki egzaminacyjnego tekstu, to człowiek, który je przeglądał, mógł natrafić na nie przypadkowo, nie wiedząc, że się tam znajdują.

— I mnie się tak wydaje.

Holmes uśmiechnął się zagadkowo.

— Chodźmy dokonać oględzin — rzekł. — Ta sprawa nie będzie cię interesować, Watsonie. Problem wymaga, jak mi się wydaje, raczej sprawności intelektualnej niż znajomości fizjologii. Chodź jednak z nami, jeśli masz ochotę.

Podłużnego kształtu, niskie, zakratowane okno gabinetu naszego klienta wychodziło na stary dziedziniec wiekowego kolegium. Przez sklezione gotyckie drzwi wchodziło się na kamienne schody. Gabinet profesora Soamesa znajdował się na parterze, wyżej zaś mieszkali trzej studenci, każdy na innym piętrze. Zmrok już zapadał, gdy dotarliśmy na miejsce. Holmes przystanął i badawczym spojrzeniem obrzucił okno. Następnie podszedł bliżej wspiął się na palce i wyciągając szyję zajrzał do wnętrza pokoju.

— Musiał wejść przez drzwi — oświadczył z pewnością siebie nasz przewodnik — w tym oknie otwiera się tylko lufcik.

Holmes spojrział na niego i uśmiechnął się znacząco.

— Lepiej więc, abyśmy weszli do środka, skoro tutaj nie uzyskamy żadnych wskazówek.

Profesor otworzył drzwi i wprowadził nas do swego gabinetu. Stanęliśmy na progu, podczas gdy Holmes pilnie badał dywan.

— Obawiam się, że i tu nie pozostawiono żadnych śladów — rzekł po chwili. — Trudno się było zresztą tego spodziewać po tak suchym dniu. Pański służący musiał już dojść do siebie. Pozostawił go pan tutaj na krześle, tak? Na którym?

— Na tym koło okna.

— Aha, przy tym małym stoliku. Możecie wejść, panowie, skończyłem już sprawdzać dywan. Zaczniemy od tego stolika. Wszystko, co się tu wydarzyło, jest oczywiście najzupełniej jasne. Winowajca wszedł do gabinetu i wziął papiery z biurka, kolejno, kartka po kartce. Przeniósł je na stolik przy oknie, z tego bowiem miejsca mógł dostrzec pana powracającego przez dziedziniec i w porę uciec.

— W tym wypadku nie mógł, gdyż wszedłem przez boczną bramę.

— Tak? Tym lepiej. W każdym razie taki był jego plan. Proszę mi podać te trzy szpalty. Nie widzę na nich żadnych odcisków palców. A zatem przeniósł pierwszą szpalte na ten stolik przy oknie i przepisał jej treść. Ile czasu mogło mu to zająć, zakładając, że robił wszelkie możliwe skróty? Co najmniej kwadrans. Następnie porzucił pierwszą szpalte i chwycił drugą. Zajęty był właśnie jej przepisywaniem, gdy pański niespodziewany powrót zmusił go do pospiesznego wyjścia. Bardzo pospiesznego, nie zdążył bowiem odłożyć papierów tam, gdzie się przedtem znajdowały, a to umożliwiło panu odkrycie, że ktoś tu wchodził w czasie pańskiej nieobecności. Czy wchodząc, nie słyszał pan odgłosu nóg szybko biegnących po schodach?

— Nie, nic podobnego sobie nie przypominam.

— Pisał tak intensywnie, że złamał ołówek i, jak się możecie sami przekonać, musiał go zaostrzyć. To jest barć istotny szczegół, Watsonie. Ołówek, którym się posługiwał, nie był zwyczajny, grafit miał miękki, drewnienko polakierowane było na kolor ciemnoniebieski, nazwa i znak fabryczny wytłoczone srebrnymi, drukowanymi literami. Długość tego ołówka po zatemperowaniu wy już tylko około półtora cala. Proszę szukać takiego ołówka, panie profesorze, a znajdzie pan winowajcę. Aby panu tym pomóc, dodam, że posiada on duży i tępy scyzoryk.

Profesor Soames był oszołomiony tym potokiem informacji.

— Mogę zrozumieć niektóre z pańskich wywodów — rzekł — ale jeśli chodzi o długość tego ołówka...

Holmes trzymał w palcach drobniutki skrawek drewna, na którym były widoczne litery NN, a po nich przerwa.

— Widzi pan?

— Widzę, ale nie bardzo rozumiem...

— Rzeczywiście czasami niesprawiedliwie cię oceniam, Watsonie. Inni również na to zasługują. Co mogą oznaczać litery NN? Oznaczają koniec słowa, a wiecie przecież, że ołówki marki Johann Faber są w powszechnym użyciu. Czyż nie jest więc jasne, że długość tego ołówka musiała być mniej więcej taka, ile miejsca zajmuje nazwisko wytwórcy?

Holmes pochylił blat stolika ku elektrycznej lampie.

— Papier, na którym pisał, mógł być na tyle cienki, że jakieś ślady mogłyby pozostać na politurowanej powierzchni stolika, ale nic z tego. Skoro tu niczego nie znajdę, zajmijmy się biurkiem. Ta mała czarna grudka jest, jak sądzę, tym, co pan określił jako kawałeczek czarnego ciasta. Ma mniej więcej stożkowaty kształt i jest lekko wewnątrz wydrążona. Ma pan rację, w środku jest trochę trocin. To doprawdy bardzo interesujące. A rozdarcie skóry pokrywającej biurko? Zaczyna się od cienkiej rysy i kończy wyszarpaną dziurą. Jestem panu niezmiernie wdzięczny za powierzenie mi tak ciekawej sprawy. Dokąd prowadzą drzwi? — Do mojej sypialni.

— Czy zaglądał pan tam po odkryciu, że ktoś się dobrał do pańskich papierów?

— Nie, poszedłem prosto do pana.

— Chciałbym się tam nieco rozejrzeć... Cóż to za uroczy, staroświecki pokój! Może panowie zechcą poczekać chwilę, aż zbadam podłogę. Nie, nie widzę na niej nic godnego uwagi. A co z tą kotarą? Wiesza pan za nią swoje ubrania. Gdyby ktokolwiek chciał się ukryć w tym pokoju, musiałby to zrobić tutaj, łóżko bowiem jest za niskie, a szafa za płytka. Przypuszczam, że nie ma tutaj nikogo?

Holmes odsunął kotarę Obserwując pewną sztywność w jego sylwetce i czujność ruchów, zdałem sobie sprawę, że był przygotowany na ewentualne niebezpieczeństwo. Jednakże po odsunięciu kotary ujrzeliśmy tylko kilka garniturów na wieszakach. Holmes nagle odwrócił się i pochylił.

— A cóż to takiego?!

Na podłodze leżała mała stożkowata grudka czarnej, lepkiej substancji. Takiej samej jak ta, którą znaleziono na biurku w gabinecie. Holmes podniósł ją ostrożnie, położył na otwartej dłoni i oglądał w świetle elektrycznej lampy.

— Nieznany gość pozostawił ślady nie tylko w pana gabinecie, ale i w sypialni.

— A po co miałby tu wchodzić?

— Wydaje mi się to dosyć oczywiste. Wrócił pan niespodziewanie, inną drogą, a intruz zdał sobie z tego sprawę dopiero w chwili gdy pan się znalazł przy samych drzwiach gabinetu. Co mu więc pozostawało? Szybko chwycił wszystko, co go mogło zdradzić, i rzucił się do pańskiej sypialni, żeby się tam ukryć.

— Na miły Bóg, czy chce mi pan powiedzieć, że w czasie mojej rozmowy z Bannisterem ten człowiek był tutaj?

— Wszystko na to wskazuje.

— Czy naprawdę nie ma innej alternatywy? Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na okno w mojej sypialni?

— Ma drobne, kwadratowe szybki, oprawione w ołów. Składa się z trzech oddzielnych skrzydeł, z których jedno otwiera się na zawiasach i jest wystarczająco szerokie, aby mężczyzna mógł się przez nie przedostać.

— Właśnie. A poza tym to okno wychodzi na róg dziedzińca i dzięki temu jest do pewnego stopnia niewidoczne. Nasz człowiek mógł więc wejść przez okno, przejść przez sypialnię, pozostawiając ślady, i wreszcie, stwierdziwszy, że drzwi w moim gabinecie są otwarte, uciec tymi drzwiami.

Holmes potrzęsnał głową, zniecierpliwiony.

— Pomyślmy realnie. Z tego, co pan mi mówił, wynikałoby, że mieszkający tutaj trzej studenci używają tych samych schodów i przechodzą zwykle obok pańskich drzwi.

— Tak jest.

— Wszyscy trzej przystępują do egzaminu?

— Tak.

— Czy ma pan jakieś powody, aby jednego z nich podejrzewać bardziej niż pozostałych?

Profesor Soames wahał się przez chwilę.

— To bardzo kłopotliwe pytanie. Nie mając dowodów, trudno podejrzewać kogokolwiek.

— Proszę podzielić się z nami pańskimi podejrzeniami. Udowodnienie winy biorę na siebie.

— Postaram się więc określić w paru słowach charakter studentów, którzy tu mieszkają. Lokatorem pokoju położonego na pierwszym piętrze jest Gilchrist, bardzo zdolny student oraz doskonały sportowiec. Należy do naszej reprezentacyjnej drużyny rugby oraz krykieta, był też mistrzem akademickim w skoku w dal i biegu przez płotki. Miły, wartościowy młody człowiek. Jest synem sir Jabeza Gilchrista, znanego hodowcy i właściciela koni wyścigowych, którego ta namiętność kosztowała cały jego majątek. Po śmierci ojca chłopak pozostał bez grosza przy duszy, ale jest pilny i pracowity. Da sobie radę w życiu.

Na drugim piętrze mieszka Hindus, Daulat Ras. Cichy i zamknięty w sobie, jak większość jego rodaków. Jego postępy w nauce są na ogół zadowalające, choć ma pewne trudności z greką. Jest systematyczny i sumienny.

Pokój na najwyższym piętrze zajmuje niejaki Miles McLaren. Gdy zabierze się do pracy, osiąga świetne rezultaty. To jeden z najwybitniejszych umysłów na naszym uniwersytecie. Jednakże jest chimeryczny, lubi się zabawiać i jest pozbawiony skrupułów. W pierwszym roku studiów o mało nie został usunięty z naszej uczelni w związku z karcianym skandalem. Obijał się przez cały semestr i na pewno obawia się zbliżającego egzaminu.

— A zatem jego pan podejrzewa?

— Może to zbyt daleko idący wniosek, ale jeżeli któremuś z nich nie ufam, to tylko jemu.

— Rozumiem. A teraz proszę nam pozwolić porozmawiać z pańskim służącym.

Po chwili w gabinecie zjawił się mężczyzna około pięćdziesiątki, niewielkiego wzrostu, gładko wygolony, o bladej cerze i siwiejących włosach. Jego pulchna twarz drgała nerwowo, palce kurczowo zaciskał. Wyraźnie było widać, że jest wstrząśnięty tym wydarzeniem, które wprowadziło zamęt w jego regularnym i pozbawionym gwałtowniejszych wzruszeń trybie życia.

— Staramy się rozwikłać tę nieszczęsną zagadkę — rzekł do niego profesor Soames.

— Rozumiem, panie profesorze.

— Jak się dowiedziałem — rzekł Holmes — zostawił pan klucze w drzwiach?

— Tak jest — odpowiedział Bannister.

— Czy to nie dziwne, że stało się to właśnie w dniu, kiedy te papiery znajdowały się w gabinecie?

— To doprawdy nieszczęście, ale zdarzało mi się to już przedtem parę razy.

— Kiedy pan wszedł do gabinetu?

— Około pół do czwartej. Profesor Soames zwykł pić herbatę o tej porze.

— Jak długo pan tutaj przebywał?

— Wyszedłem od razu, kiedy zobaczyłem, że pana profesora już nie ma.

— Czy zaglądał pan do tych papierów na biurku?

— Nie, sir, na pewno nie.

— Ale jak to się stało, że pozostawił pan klucz w drzwiach?

— Niosłem tacę z imbrykiem i filiżanką, ręce miałem zajęte. Pomyślałem, że wrócę po klucz, ale zapomniałem.

— Czy zewnętrzne drzwi mają zatrzask?

— Nie, sir.

— Cały czas były otwarte?

— Tak, sir.

— Więc każdy swobodnie mógł opuścić ten pokój?

— Tak jest.

— Gdy profesor Soames wrócił i dowiedział się pan od niego, co zaszło, był pan tym bardzo przejęty?

— Tak, służę tutaj od wielu lat i nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. O mało nie zemdlałem.

— Wiem o tym. W chwili gdy pan zasnął, gdzie się pan znajdował?

— Gdzie się znajdowałem? Tutaj, koło drzwi.

— Dziwne... usiadł pan na krześle tam w rogu. Dlaczego pan nie wybrał któregoś z krzeseł stojących bliżej?

— Nie wiem, sir, nie myślałem, gdzie siadam.

— Doprawdy nie sędzę, aby zdawał sobie sprawę z tego, co robi — wtrącił profesor Soames — wyglądał okropnie, wprost przerażająco.

— Jak długo pan tu pozostał po odejściu profesora?

— Chyba nie dłużej niż minutę. Potem zamknąłem drzwi i poszedłem do swojego pokoju.

— Kogo pan podejrzewa?

— Nie potrafię powiedzieć. Nie wierzę, aby w całym naszym uniwersytecie znalazł się ktoś, kto byłby zdolny do takiego czynu. Nie, sir, to niemożliwe.

— Dziękuję, to wystarczy — rzekł Holmes. — Aha, jeszcze jedno — czy wspominał pan któremukolwiek z tych trzech młodych dżentelmenów, którym pan służy, o tym, co zaszło?

— Nie, sir, nie wspomniałem ani słowem.

— Nie widział pan żadnego z nich?

— Nie, sir.

— Bardzo dobrze. A teraz, panie profesorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przespacerujemy się po dziedzińcu.

Trzy żółte, prostokątne plamy światła lśniły nad naszymi głowami w zapadającym mroku nocy.

— Wszystkie ptaszki są w swoich gniazdkach — odezwał się Holmes, patrząc w górę. — A co to znaczy? Jeden z nich wydaje się raczej niespokojny!

Był to Hindus, którego ciemna sylwetka zarysowała się na tle spuszczonej żaluzji. Chodził szybko tam i z powrotem po swoim pokoju.

— Chciałbym rzucić okiem na każdego z nich — rzekł Holmes. — Czy byłoby to możliwe?

— Nic łatwiejszego — odpowiedział profesor Soames. — Te trzy pokoje należą do najstarszej części naszego wydziału i nieraz są zwiedzane przez przyjezdnych i turystów. Zaprowadzę panów osobiście do każdego z nich.

— Proszę nie wymieniać żadnych nazwisk — szepnął Holmes w chwili, gdy stukaliśmy do drzwi Gilchrista.

Drzwi otworzył wysoki, szczupły blondyn i dowiedziawszy się, o co chodzi, powitał nas uprzejmie. Jego pokój zawierał istotnie parę ciekawych szczegółów architektonicznych, zachowanych z okresu późnego średniowiecza. Holmes tak się jednym z nich zachwycił, że uparł się, żeby go naszkicować w swoim notesie. Robiąc to, złamał ołówek, pożyczył drugi od naszego gospodarza, a po chwili poprosił również o scyzoryk, aby go zatemperować. Dziwnym zbiegiem okoliczności to samo powtórzyło się w pokoju Hindusa — niskiego, mrukliwego młodzieńca o orlim nosie, który dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widzianymi gośćmi, i odetchnął z widoczną ulgą, kiedy Holmes przestał wreszcie interesować się architektonicznymi szczegółami. W obydwu przypadkach nie zauważyłem nic, co by wskazywało, że Holmes jest na tropie.

Natomiast trzecia wizyta nie doszła do skutku. Zza drzwi, które pomimo natarczywego stukania pozostały zamknięte, usłyszeliśmy tylko potok obelżywych wyrazów:

— Nie obchodzi mnie, kim jesteście — ryczał gniewny głos. — Jutro mam egzamin i nie chcę, aby mi przeszkadzano. Idźcie do wszystkich diabłów!

Nasz przewodnik aż poczerwieniał ze złości.

— Cóż to za arogant! — mówił, schodząc z nami po schodach. — Nie wiedział, oczywiście, że to ja stukam, ale mimo to jego zachowanie należy zakwalifikować jako wybitnie niegrzeczne i zważywszy na okoliczności, raczej podejrzane.

Holmes zareagował na to w dziwny sposób.

— Czy może mi pan powiedzieć, jakiego jest wzrostu? — zapytał.

— Jakiego jest wzrostu? Doprawdy nie potrafię tego dokładnie określić. Jest wyższy od Hindusa, ale nie tak wysoki jak Gilchrist. Sądzę, że ma mniej więcej pięć stóp i sześć cali.

— To jest bardzo ważne — odrzekł Holmes. — A teraz nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć panu profesorowi dobrej nocy.

— Na Boga! — wykrzyknął Soames zdziwiony i oburzony. — Chyba nie zostawi mnie pan tak nagle!? Czyżby nie zdawał pan sobie sprawy z położenia, w jakim się znalazłem? Jutro jest egzamin. Dziś wieczorem muszę podjąć ostateczną decyzję. Nie mogę pozwolić na przeprowadzenie egzaminu, jeśli ktoś miał dostęp do tych papierów. Trzeba koniecznie wyjaśnić sytuację!

— Niech pan zostawi wszystko bez zmian. Wpadnę jutro wczesnym rankiem i jeszcze o tym pogadamy. Może będę mógł zalecić jakieś konkretne kroki. Tymczasem proszę postępować tak, jakby nic nie zaszło.

— Zastosuję się do pańskiej rady.

— Proszę się nie obawiać, znajdziemy na pewno jakieś wyjście. Wezmę ze sobą tę grudkę gliny i skrawki ołówka. Do widzenia.

Po chwili znaleźliśmy się w ciemnościach dziedzińca i ponownie spojrzeliśmy w górę ku oświetlonym oknom trzech studentów. Hindus wciąż chodził po swoim pokoju, dwaj pozostali byli niewidoczni.

— No i cóż o tym myślisz, Watsonie? — zapytał Holmes, wychodząc na ulicę. — Czy ci to nie przypomina gry towarzyskiej lub czegoś w rodzaju gry w trzy karty? W trzech pokojach mamy trzech mężczyzn. Jeden z nich jest na pewno winowajcą. Na którego stawiasz?

— Ten z najwyższego piętra, szafujący tak hojnie wyzwiskami. Obciąża go wszystko, co o nim wiemy. Ale i Hindus jest cwaniakiem. Dlaczego on tak chodzi po pokoju?

— Nie przywiązywałbym do tego większego znaczenia. Mnóstwo ludzi ma zwyczaj chodzić, gdy uczą się czegoś na pamięć.

— Patrzył na nas niechętnie i podejrzliwie.

— A czy ty patrzyłbyś inaczej, gdyby zgraja obcych ludzi wtargnęła do twojego pokoju w przeddzień egzaminu, gdy każda chwila się liczy? A poza tym ich ołówki i scyzoryki... w porządku. Natomiast tamten typ mnie naprawdę intryguje.

— Który?

— Służący Bannister, oczywiście. Jaka rolę odegraj w tej sprawie?

— Zrobił na mnie wrażenie uczciwego człowieka. «

— Na mnie również. I to właśnie jest zadziwiające! Dlaczego uczciwy człowiek... dobrze, ale dochodzimy właśnie do sklepu z materiałami piśmiennymi. Tu rozpoczniemy nasze poszukiwania.

W mieście, o którym mowa, znajdowały się tylko cztery sklepy, mające bogaty asortyment takich artykułów. W każdym z nich Holmes pokazywał skrawki ołówka i wyraził gotowość zapłacenia najbardziej wygórowanej ceny, za identyczny. Wszędzie mu odpowiadało, że takich i ołówków nie ma na składzie, ale można je zamówić. Mój przyjaciel nie wydawał się zbyt rozczarowany takim rezultatem naszej wędrówki i powiedział, wruszając ramionami, z raczej wesołą rezygnacją:

— Nic z tego, mój drogi. Najlepsza i jedyna poszlaka zaprowadziła nas do nikąd. Ale nie wątpię, że i bez niej potrafimy zgromadzić wystarczające dowody. Tam do licha, dochodzi dziewiąta, a nasza gospodyni przebąkiwała coś o cielecinie z groszkiem o wpół do ósmej. Sądzę, że twój zwyczaj wędzenia się w dymie tytoniowym tudzież chroniczne spóźnianie się na posiłki sprawi, że wymówią ci mieszkanie i będę zmuszony podzielić twój los. Przedtem jednak zdołamy się uporać z problemem nerwowego profesora, roztargnionego służącego i trzech przedsiębiorczych studentów.

Holmes nie wspominał już więcej o tej sprawie, choć po naszej spóźnionej kolacji siedział długo pogrążony w myślach. Nazajutrz, o ósmej rano, kończyłem właśnie się ubierać, gdy wszedł do mojego pokoju.

— Jak się masz, Watsonie! Czas już iść do Kolegium św. Łukasza. Czy możesz zrezygnować ze śniadania?

— Oczywiście.

— Nerwy profesora Soamesa poddane są poważnej próbie i należy go czym prędzej uspokoić.

— Masz dla niego jakąś dobrą wiadomość?

— Tak sądzę.

— Czy wiesz, jak to się stało?

— Tak, mój drogi, rozwiązałem zagadkę.

— Jakim cudem?

— Nie na darmo zerwałem się dzisiaj z łóżka o szóstej, o tak nieludzkiej porze, po czym przez dwie godziny ciężko pracowałem. Przeszedłem co najmniej pięć mil. Ale opłacił mi się ten trud. Spójrz!

Wyciągnął rękę. Na jego dłoni ujrzałem trzy grudki czarnej, papkowej masy.

— Przecież wczoraj miałeś ich tylko dwie!

— A dzisiaj zdobyłem trzecią. Słuszne wydaje mi się twierdzenie, że skoro wiem, skąd pochodzi grudka numer trzy, wiem również, skąd pochodzi grudka numer jeden i dwa. Co ty na to? A teraz chodźmy i uwolnijmy naszego profesora od nękającej go od wczoraj udreki.

Profesora Soamesa zastaliśmy w jego mieszkaniu w stanie budzącym litość. Egzamin miał się rozpocząć za parę godzin, a nieszczęsny pedagog wciąż rozważał, czy podać fakty do publicznej wiadomości, czy pozwolić winowajcy ubiegać się o cenne stypendium?

Na nasz widok zerwał się z krzesła i podbiegł do Holmesa z wyciągniętymi ku niemu rękami.

— Bogu dzięki! Nareszcie się pan zjawił! Myślałem już, że dał pan za wygraną i pozostawił mnie samemu sobie. Co mam robić? Odwołać egzamin?

— Ależ nie, nie widzę po temu powodów.

— Ale ten łajdak...

— Nie będzie zdawał egzaminu.

— A więc pan wie, kto to jest?!

— Sądzę, że wiem. Jeśli ta sprawa ma nie przedostać się na zewnątrz, musimy sobie uzurpować pewną władzę i powołać coś w rodzaju prywatnego trybunału. Proszę tu zasiąść, panie profesorze. A ty tutaj, Watsonie. Ja zajmę miejsce w środku, na tym fotelu. Wydaje mi się, że nasze grono jest dostatecznie dostojne, aby napędzić strachu winnym. A teraz, panie profesorze, proszę zadzwonić.

Do gabinetu wszedł służący i, widząc nasze surowe oblicza i sędziowskie pozy, cofnął się przerażony.

— Zechce pan zamknąć za sobą drzwi — rzekł Holmes. — A teraz, Bannister, proszę nam powiedzieć prawdę o tym, co się tu wczoraj wydarzyło.

Bannister zbladł.

— Wszystko już powiedziałem.

— Całą prawdę?

— Tak jest, całą prawdę.

— Postaram się odświeżyć pańską pamięć. Czy siadając wczoraj na tym krześle, uczynił pan to w celu ukrycia pewnego przedmiotu, który by zdradził, kto się znajdował w tym pokoju?

Twarz Bannistera wyglądała upiornie.

— Nie, sir.

— To tylko przypuszczenie — mówił Holmes z łagodną perswazją — przyznaję, iż nie mogę tego dowieść. Ale wydaje mi się prawdopodobne, że natychmiast po odejściu stąd pana profesora uwolnił pan człowieka ukrywającego się w jego sypialni.

Bannister zwilżył językiem zeschłe wargi.

— Tam nikogo nie było.

— Dotychczas mówił pan, być może, prawdę, ale wiem, że w tej chwili pan kłamie. Twarz służącego przybrała wyraz ponurej zaciętości.

— Tam nikogo nie było.

— Po co się upierać przy tym kłamstwie?

— Ja nie kłamię, tam nikogo nie było.

— W takim razie nie może pan nam udzielić dalszych informacji. Proszę jednak pozostać w tym pokoju i stanąć tam, obok drzwi prowadzących do sypialni. A teraz może pan, panie profesorze, będzie łaskaw pójść do pokoju młodego Gilchrista i poprosić go, aby pofatygował się do nas.

Wkrótce do gabinetu weszli razem profesor i student. Ten ostatni był bardzo wysokim, przystojnym mężczyzną, o sympatycznym wyrazie twarzy, zwinnych ruchach i sprężystym kroku. Jego zaniepokojone niebieskie oczy przebiegły szybko po każdym z nas i zatrzymały się z przerażeniem na osobie Bannistera stojącego w najodleglejszym kącie pokoju.

— Proszę zamknąć drzwi! — rzekł Holmes. — Jesteśmy tutaj sami i nikt się nigdy nie dowie, co między nami zaszło. Możemy więc rozmawiać całkiem szczerze. Chcemy wiedzieć, jak to się stało, że pan, człowiek o nieposzlakowanym charakterze, zdobył się na taki postępek?

Nieszczęsny student zachwiał się i spojrzał na Bannistera z niemym i bolesnym wyrzutem.

— Nie, nie, paniczu! Nie powiedziałem ani słowa! — wykrzyknął służący — ani słóweczka!

— Wystarczy nam to, co pan powiedział w tej chwili — rzekł Holmes, po czym zwrócił się do studenta. — Zdaje pan sobie sprawę, że po wyznaniu Bannistera pańska sytuacja jest beznadziejna i jedynym z niej wyjściem jest szczerze przyznanie się do winy.

Gilchrist stał przez chwilę z podniesioną dłonią, usiłując opanować konwulsyjne drganie twarzy, wreszcie rzucił się na kolana przed biurkiem, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął spazmatycznym szlochem.

— No, no, proszę się uspokoić — powiedział łagodnie Holmes. Natura ludzka jest ułomna i nikt nie zamierza pana traktować jak pozbawionego ludzkich uczuć kryminalistę. Może pan woli, abym ja opowiedział profesorowi Soamesowi przebieg wypadków, a pan sprostuje, jeśli się będę mylił. Zgoda? No dobrze już, dobrze, może pan nie odpowiadać. Niech pan tylko słucha i uważa, czy nie wyrządzam pan krzywdy.

Od chwili, w której pan profesor mi oświadczył, że nikt, nie wyłączając Bannistera, nie wiedział, że tej papiery znajdują się w jego pokoju, przebieg tej sprawy zaczął się jasno rysować w moim umyśle. Drukarza należało, oczywiście, pominąć. Papiery miał na tyle długo, że mógł je spokojnie przejrzeć. Hindusa nie brałem pod uwagę. Skoro odbitki były zwinięte w rulon, nie mógł wiedzieć, co zawierają. Z drugiej strony trudno byłoby przypuszczać, że ktoś wszedł do gabinetu profesora właśnie w dniu, w którym te papiery leżały na jego biurku. Taki zbieg okoliczności uznałem za zbyt nieprawdopodobny, wobec tego odrzuciłem tę hipotezę. Człowiek, który wszedł do gabinetu, wiedział, że papiery tam się znajdują. Jak się mógł o tym dowiedzieć?

Zanim wszedłem do gabinetu od strony dziedzińca, przyjrzałem się dokładnie oknu. Pan, panie profesorze, wywnioskował z tego, że dopuszczam możliwość, iż ktoś w biały dzień, na oczach wszystkich zamieszkujących pokoje znajdujące się po przeciwnej stronie, mógł włamać się przez to okno do gabinetu. Ta myśl była absurdalna. Chciałem po prostu sprawdzić, jakiego wzrostu musiałby być mężczyzna, aby przechodząc koło tego okna mógł dojrzeć papiery leżące na biurku. Ja mam sześć stóp i mogłem to z łatwością zrobić. Miałem więc powody, żeby zainteresować się tym z trzech pańskich studentów, który był co najmniej mojego wzrostu.

Gdy wszedłem do gabinetu, zapoznałem pana z wnioskami, jakie mi się nasunęły po obejrzeniu stolika pod oknem. Biurko natomiast nie dostarczyło mi żadnych wyraźnych

poszłak aż do chwili, gdy opisując Gilchrista pan profesor wspomniał o jego wyczynach sportowych i mistrzostwie uzyskanym w skoku w dal. Zrozumiałem wówczas wszystko i potrzebowałem już tylko kilku potwierdzających dowodów, które udało mi się szybko zdobyć.

Przebieg wypadków był następujący: ten młody człowiek spędził popołudnie na boisku, gdzie trenował skok w dal. Wracał do domu, niosąc swoje sportowe buty, których podeszwy, jak panu wiadomo, są zaopatrzone w kolce. Przechodząc koło okna gabinetu, dostrzegł, dzięki swemu wysokiemu wzrostowi, odbitki leżące na biurku i domyślił się natychmiast, że muszą mieć związek ze zbliżającym się egzaminem. Nic złego by jeszcze z tego nie wynikło, gdyby przechodząc obok pańskich drzwi nie zauważył klucza pozostawionego w zamku przez pańskiego roztargnionego służącego. Pod wpływem nagłego impulsu Gilchrist postanowił wejść i przekonać się, czy te papiery istotnie zawierają tekst grecki. Niewiele właściwie ryzykował; aby znaleźć pretekst do wejścia do gabinetu, mógł o cokolwiek zapytać pana profesora.

Dopiero jednak wtedy, gdy się przekonał, że są to naprawdę odbitki tekstów egzaminacyjnych, uległ pokusie. Postawił pantofle na biurku, po czym... a co pan położył na krześle koło okna?

— Rękawiczki — odrzekł Gilchrist.

Holmes spojrział triumfująco na Bannistera i mówił dalej:

— Położył rękawiczki na krześle i zaczął przepisywać tekst. Sądził, że pan profesor powróci przez główną bramę i w porę pana dostrzeże. Jednak pan powrócił boczną bramą i Gilchrist usłyszał pańskie kroki dopiero przy samych drzwiach. Ucieczka stała się niemożliwa. Gilchrist zapomniał o swoich rękawiczkach, chwycił pantofle i wbiegł do sypialni. Proszę się przyjrzeć rozdarciu skóry pokrywającej blat biurka. Początkowo rysa jest zaledwie widoczna, ale pogłębia się w kierunku drzwi prowadzących do sypialni. To już jest wystarczającą wskazówką, że ktoś przeciągnął pantofle po gładkiej powierzchni i winowajca ukrył się w sypialni. Grudka ziemi, która przylepiła się do jednego z kolców, spadła na biurko, druga zaś spadła na podłogę w sypialni. Dodam, że obszedłem dziś rano całe boisko i przyniosłem próbkę czarnej, gliniastej ziemi, którą wypełniona jest skocznia. Jej powierzchnia posypana jest trocinami, co chroni zawodników przed poślizgnięciem.

— Czy powiedziałem prawdę? — Holmes zamilkł i zwrócił się do studenta.

Gilchrist wyprostował się i przyznał:

— Tak, to wszystko prawda.

— Na Boga, czy nie ma pan mi nic więcej do powiedzenia? — wykrzyknął profesor Soames.

— Owszem, panie profesorze, ale to niespodziewane wykrycie mojego haniebnego czynu wytrąciło mnie zupełnie z równowagi. Oto list, który napisałem do pana dziś rano, po bezsennie spędzonej nocy, nie wiedząc, że prawda wyszła na jaw. Proszę go przeczytać, a przekona się pan, że piszę w nim: „Zdecydowałem się nie przystępować do egzaminu. Proponuję mi stanowisko oficera policji w Rodezji. Wyjeżdżam niezwłocznie do Afryki południowej”.

— Cieszę się, że nie zamierzał pan wykorzystać nieuczciwie uzyskanej przewagi — rzekł profesor Soames — ale co pana skłoniło do zmiany pańskich planów życiowych?

Gilchrist wskazał na Bannistera.

— Oto jest człowiek, który zawrócił mnie ze złej drogi.

— Słyszał pan, Bannister, co tu mówiłem przed chwilą — rzekł do służącego Holmes — i zgodzi się pan chyba ze mną, że tylko pan mógł uwolnić tego młodego człowieka z sypialni, ponieważ został pan w gabinecie, a wychodząc zamknął pan za sobą drzwi na klucz. Ucieczka przez okno była niemożliwa. Czy nie zechciałby pan nam wyjaśnić tego ostatniego nieznanego nam jeszcze szczegółu i wytłumaczyć, co wpłynęło na takie postępowanie?

— To bardzo proste — odpowiedział Bannister. — Mimo że jest pan taki bystry, tego jednak nie mógł pan wiedzieć. W swoim czasie służyłem jako lokaj u sir Jabeza Gilchrista, ojca tego młodego dżentelmena. Gdy stracił cały swój majątek, zacząłem pracować jako służący w tutejszej uczelni, ale nigdy nie zapomniałem o moim dawnym pracodawcy, któremu przestało się dobrze powodzić. Przez pamięć dawnych spędzonych u niego lat opiekowałem się, jak mogłem, jego synem. Kiedy wczoraj wszczęto alarm z powodu tych papierów, pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy były brązowe rękawiczki pana Gilchrista leżące na tym krześle. Znałem je dobrze i zrozumiałem, co to oznacza. Gdyby pan profesor Soames je zobaczył, byłoby po wszystkim. Opadłem na to krzesło i nie ruszyłem się z niego dopóki pan profesor nie poszedł do pana. Wtedy wyszedł z sypialni mój młody panicz, którego kiedyś na rękach nosiłem, i wszystko mi wyznał. To było naturalne, że chciałem go ratować i przemówić do niego, jakby to jego zmarły ojciec uczynił, i wytłumaczyć mu, że tak nie wolno postępować, choćby z tego nie wiadomo, jaka korzyść miała wyniknąć? Czy ma pan mi to za złe?

— Na pewno nie — odrzekł serdecznie Holmes, zrywając się żywo z fotela. — No, profesorze, zagadka rozwiązana, a w domu czeka na nas śniadanie. Chodźmy, Watsonie. Tobie zaś, młody człowieku, życzymy powodzenia w Rodezji. Raz w życiu upadłeś nisko, przyszłość pokaże, jak wysoko potrafisz się wznieść.

Przełożył Jan Meysztowicz